

PRZYJACIEL LUDU

Wychodzi we Lwowie 1. i 15. każdego miesiąca.

Przedpłata wynosi: kwartalnie 50 ct.; półrocznie 1 złr.; rocznie 2 złr.

Adres wydawnictwa: Redakcja „Przyjaciela Ludu“, Lwów, ul. Sobieskiego l. 28.

Administracja „Przyjaciela“ uprasza tych z pomiędzy szanownych czytelników, którzy dotąd nie nadesłali prenumeraty na rok bieżący, o uczynienie tego w jak najkrótszym czasie.

Pierwszy nakład „Przyjaciela Ludu“ skonfiskowała c. k. Prokuratorja państwa za artykuł pod tytułem „Propinacja“.

Ks. ŚCIEGIENNY.

Ksiądz Ściegienny w Kielcach, ich okolicy, ba w całym łańcuchu gór Śto-Krzyżkich jest postacią w pełni legendową. Krążą o nim najrozmaitsze wieści, i to nie tylko między wioskową szlachtą, nie tylko mieszczaństwem, czy więcej, czy mniej oświeconem — ale i pomiędzy włościanami.

W ostatniem nie ma nic dziwnego.

Włościanin śto-krzyżki, na pół góral, na pół górnik i kowal, a jak tu zwią „kuźniak“, z dawien dawna był prawie niepodległym, godność swą czuć umiał. Ojczyznę też ko-

chał. Jakże więc nie miał i nie ma mówić o człowieku takim, który, jak ks. Ściegienny, życie swe dla tej Ojczyzny poświęcił. Opowiada on zresztą o ks. Ściegiennym chętniej niż o kim innym dla tego, że ten ksiądz to kość jego kości, krew jego krwi, ksiądz bowiem Ściegienny jest włościaninem z pod Kielc.

Urodził się we wsi Bilezy, odległej od Kielc o wiorst 7, a położonej na południowych stokach gór poławskich, zamykających piękną dolinę kielecką z południa tamą nieprzebytą. W tej bramie jest tylko jedna przerwa, przy młynie Słowika, przerwa szeroka na 40 do 50 sążni, którą się przemyskają wody czarnej Nidy na południe, którą idzie wielki trakt krakowski, a teraz i kolej demblińsko-dąbrowska.

Śliczna to miejscowość ten Słowik.

Bileza od Słowika leży blisko milę na wschód; wieś to duża i szeroko rozsiadła w zagłębieniu gór poławskich. Domostwa ma porządnie pobudowane, stodoły, obory, chlewy również, lubo z drzewa, a wszystko gontem kryte, jak wszędzie na Śto-krzyżkiem.

Rodzina ks. Ściegiennego była liczna, pomimo to ojciec go oddał do szkół do Kielc, skąd młody Ściegienny już sam się przeniósł

do Pijarów do Warszawy i tu skończywszy nauki, przywdział sukienkę zakonną i został nauczycielem szkoły pijarskiej w Opolu, w Lubelskiem.

Kiedy po roku 1831 zniesiono szkoły pijarskie, Ściegienny, już ksiądz, otrzymał probostwo w Chodlu, w lubelskiem nad Wisłą, niedaleko Opolu. Tu przeżył lat wiele, pracując dużo nad oświatą ludu. Ztąd także w roku 1844 ruszył w Sto-Krzyżkie, w swe rodzinne strony, aby skłonić lud włościański do powstania przeciw Moskałom. Lud tłumnie wziął udział w sprzysiężeniu, które ogarnęło sobą i szlachtę młodszą, oraz mieszczaństwo Krakowskiego i Sandomierskiego; sięgnęło i Warszawy, lubo niewyłącznie w niej miało swe źródło,

Wszystko się to jednak na nic nie zdało, albowiem przedwcześnie na wierzch wyszło dzięki zdradzie Perkowskiego, wójta gminy kieleckiej, któremu zwierzył się nie bez złych zamiarów włościanin Janicz ze wsi Krajna.

W końcu września aresztowano mnóstwo włościan w Sto-Krzyżkiem; w Kielcach dwóch Pantoczków i Zawadzkiego, w Radomiu Jana Nowakowskiego, podpisarza Trybunału; w Warszawie sławny Leichte, żandarm z lokaja, napełnił kazamaty cytadeli więźniami, a obchodził się z nimi tak nie po ludzku przy sądzie, że młody Levittoux, obawiając się aby kogo nie wydał, odebrał sobie życie przez spalenie się żywcem na więziennem łóżku.

Śledztwo z tych, których aresztowano w Kielcach, Radomiu, Sandomierskiem i Krakowskiem, prowadzono w Kielcach pod kierunkiem Szyszkowskiego, majora żandarmów, i w konsekwencji skazano: dwóch Pantoczków Zawadzkiego, Nowakowskiego, dwóch włościan Ściegennych, miernika i górnika — na tysiąc kijów i zesłanie w Sybir — mnóstwo

włościan na liczne kije i w Sybir, młodszych na kije i w soldaty, wojować Czerkiesów na Kaukazie; a bardzo niewielu tylko na kije, poczem ich uwolniono.

Ksiądz Ściegienny ukrywał się, nie dając za wygraną; ale i tego chwycono na jesieni 1844 roku, dzięki przypadkowej interwencji niejakiego Bońkowskiego, strażnika tabacznego w Kielcach, (wówczas w Królestwie istniał monopol tytoniowy i była zorganizowana specjalna straż t. z. tabaczna). Po długiem śledztwie ks. Ściegiennego skazano na śmierć przez powieszenie. Ale że to były czasy, w których car Mikołaj niby umizgał się do papieża Grzegorza XVI. mimo że mało co przedtem obalił Unję na Litwie i Rusi przy pomocy zdrajcy Siemaszki (r. 1839). przeto Ściegiennego nie powieszono, ale go podprowadzono pod szubienicę wystawioną na placu Panny Marji w Kielcach, gdzie stoi katedra i tu po zdjęciu z niego przez księży »sakry« przeczytano mu wyrok, założono stryczek na szyję, poczem oświadczwszy mu »carską łaskę« (!!) powieziono w Sybir. Ówczesni księża kieleccy podjęli się ks. Ściegiennemu zdjąć sakrę, pomimo że to kanonicznie nie ma znaczenia. A jednak w lat kilka potem w podobnym razie we Lwowie miejscowy arcybiskup łaciński, gdy władze ówczesne domagały się odeń równo ważnego czynu, odpowiedział im zacny kapłan odmownie stanowczo i z godnością. Tej niezaszczytnej roli podjęli się jednak księża kieleccy względem ks. Ściegiennego.

Tak ta ochydna egzekucja na ks. Ściegennym, tak i wszystkie inne w Kielcach się odbyły. Tu tysiące pałek dostali wspomnieni: Jan Nowakowski, Pantoczkowie, Zawadzki bracia Ściegienni i liczni włościanie.

Sądny to był dzień dla Kiele.

I wyroki te wydali Polacy, wbrew obowiązującemu prawu karnemu, a wykonawcami owych wyroków byli, rzecz prosta, moskiewscy żołdaci.

Egzekucje odbywały się w ten sposób, że ofiarę obnażoną do pasa przywiązywano za ręce na krzyż złożone do luf dwóch karabinów, które za kolby trzymając dwóch żołnierzy za sobą ciągnęło wraz z ofiarą — przeprowadzając ostatnią pomiędzy szeregami dwoma żołdatów, z których każdy był uzbrojony prętem grubości małego palca u ręki dorosłego mężczyzny. Pręty winny były być wierzbowe lub leszczynowe. W miarę jak ofiara nadchodziła ciągniona, każdy z żołnierzy obowiązany był ją uderzyć prętem w plecy. Ilu żołnierzy, tyle uderzeń. Jeśli uderzeń miało być 1000, tyluż żołnierzy winno było stać. Gdy ich było mniej, ofiarę przeprowadzano przez szereg po razy kilka. Jeśli po kilkuset, t. j. stu kilkudziesięciu, 200 razach bity zemdlął, kładziono go na wózek i wożono przez szeregi, póki cyfry naznaczonej nie wybito. Nazywało się to niewinnie w urzędowym języku rosyjskiem: »perewiesti skwoś stroj tysiacz czelowiek...«

(Dokończenie nastąpi).

Dla zarady głodowi.

Dnia 23. września odbyła się w Wydziale krajowym wspólna konferencja delegatów namiestnictwa i Wydziału krajowego dla zastanowienia się nad obecnym położeniem ludności, dotkniętej głodem w skutek tegorocznych nieurodzajów.

Okazało się, że na zasiewy ozime i jare, oraz na wyżywienie do r. 1890 ludności potrzebaby było około sześciu milionów. Jest

nadzieja, że roboty publiczne, prowadzone przez rząd i Wydział krajowy w znacznej mierze dostarczą zarobku, zatem suma, z jaką należałoby przyjść tej ludności z pomocą, może być znacznie zredukowaną. Po konferencji Wydział kraj. odniósł się do namiestnika z prośbą wyjednaną u rządu kwoty 900.000 złr., jaka jest koniecznie potrzebna, jeśli klęska nie ma przybrać przerażających rozmiarów. Z sumy tej należałoby — rozdać 300.000 złr. tytułem bezzwrotnych zapomóg, zaś 600.000 złr. wyznaczyć na bezprocentowe pożyczki, zwrotne w sześciu latach, licząc od roku 1891.

Upraszano również namiestnika o wyjednanie, aby ściągania podatków w r. 1890 nie zaprowadzano z całą surowością, ale aby zezwalano na ratalne spłaty.

Odniósł się Wydział kraj. również z prośbą do namiestnika o wstawienie się u rządu, aby prowadził budowy dróg w tych okolicach naszego kraju, w których ludność narażoną jest na niedostatek i głód.

Wydział kraj. udzielać będzie również zasiłków na budowę i naprawę dróg powiatowych i gminnych w r. 1890 przedewszystkiem powiatom, dotkniętym tegorocznym nieurodzajem. Wydział krajowy wstawił do budżetu, to jest wydatków r. 1890 kwotę 210.000 złr. na bezzwrotne zasiłki dla dróg powiatowych i gminnych; 20.000 złr. na budowę i utrzymanie publicznych dojazdów kolejowych, oraz 20.000 złr., jako ósmą ratę do funduszu pożyczkowego drogowego.

Wydział krajowy wystosował okólnik do wydziałów powiatów, dotkniętych najwięcej nieurodzajem, a mianowicie: Bochni, Borszczowa, Brzeżan, Brzozowa, Buczacza, Czerwikowa, Dobromila, Gorlic, Gródka, Horodenki, Husiatyna, Jarosławia, Jaworowa, Kałusza, Kamionki strum., Kolbuszowej, Kołomyji

Krakowa, Łańcuta, Lwowa, Nadwórny, Niska, Pilzna, Podhajec, Przemyśla, Przemyślan, Rohatyna, Rudek, Rzeszowa, Skalatu, Śniatyna, Stanisławowa, Tarnopola, Tłumacza, Wieliczki, Zaleszczyk, Zbaraża, Złoczowa, Żółkwi i Żydaczowa.

Polecił im, aby najdalej do 15. października przedłożyły Wydziałowi krajowemu szczegółowe daty co do potrzebnych robót publicznych.

Jeszcze o nieurodzaju.

Nie ma chyba takiego zakątku w naszym kraju, którego by nie dotknęła klęska nieurodzaju. Oto co piszą o niej z Birczy:

☛ Jesteśmy w przededniu strasznej biedy, która odbija się u ludu rolniczego przez długi szereg lat przyszłych, z powodu bowiem braku paszy wyprzedał rolnik ostatni dobytek, jaki miał w swojej zagrodzie, a wyprzedał za $\frac{1}{4}$ część zwykłej jego ceny, biorąc po 7—10 zł. za krowy, które rok temu wstecz płacono po 40—50. lub po 50—70 za parę wołów, zapłaconych w jesieni zeszłej 150—200 zł. — Dobytke zatem, ta podstawa w gospodarstwie rolnem, wyprzedano, oborniku czyli gnoju pod tegoroczne jesienne i przyszłe wiosenne zasiewy nie ma i nie będzie, a więc za pożyczone pieniądze kupuje się nawozy sztuczne, kupuje i ziarno do siewu, najmuje pług i bronę no, i jeśli sprzyjające będą warunki, spodziewać się należy pięknych urodzajów w przyszłym roku. Ale z czego, pytamy, zapłaci dług zaciągnięty na dokonane zasiewy i za co kupi inwentarz, kiedy już mieć będzie paszę na wyżywienie, z czego wreszcie żyć będzie przez całą drugą zimę, skoro i kapusty zupełnie chybiły i skoro słota, trwająca od paru tygodni, grozi zgnojeniem tego jedyne go w tym roku dość obfitego plonu kartofli, w których chłop pokładał dotąd nadzieję swego ocalenia?

O działalności zaś ratunkowej nikt pono nie myśli, jakkolwiek czas już wielki, aby o niej na serjo pomyślano, a gdyby wreszcie ojcowie kraju po zwołaniu sejmu uchwalili zwykłą w podobnych wypadkach zapomogę w formie pożyczek zwrotnych, czy bezzwrotnych, to pomoc taka jest raczej prostą jałmużną żebrakowi rzuconą, niż skutecznym środkiem ku osłabieniu fatalnych skutków tegorocznej klęski, jaką stan rolniczy w ogóle dotkniętym został.

Dla ludu naszego jednym dziś ratunkiem byłyby roboty, podjęte funduszem krajowym, czy państwowym, gdzie by mógł tyle przynajmniej zarobić, aby najpierwsze i najniezbędniejsze dzienne jego potrzeby zaspokojone zostały i aby w ciągłej pracy znalazł zapomnienie ciężkiej swej doli.

To też w pierwszym rządzie do „Kółek Rolniczych“ należeć by powinno, aby przedstawiły, gdzie należy, stan opłakany rolnika, a spodziewać się należy, że roboty np. około dróg krajowych i regulacji rzek już postanowione lub, w przyszłości postanowić się mające, dziś by rozpoczęte zostały i tem samem dostarczyłyby pracy i kawałka chleba spragnionym.

Że na ten krok nie zdobędzie się zarząd tutejszego »Kółka Rolniczego« o tem nie wątpimy, jakkolwiek delegat głównego zarządu Towarzystwa zwołał podobno reprezentantów wszystkich „Kółek“ w powiecie na dzień 29. września na naradę w tej sprawie. Poruszamy jednak tą sprawę na tem tu miejscu dla tego jedynie, aby dać niejako sposobność do zastanowienia się nad nią także innym „Kółkom Rolniczym“, które będąc w lepszych warunkach, skuteczniej mogą ją poprzeć u sfer decydujących.

Rozpisawszy się dość obszernie o smutnych rzeczach, nie zawadzi może wspomnieć na pociechę o Towarzystwie straży ogniowej ochot-

tniej. Instytucja, ta bezsprzecznie wysoko pożyteczna, zdaje się mieć wszelką rację bytu, ma już bowiem i sikawkę własną i niezbędne rekwizyta i wyborne na 18 ludzi umundurowanie; jest karność i niezwykła ochota do niesienia w razie potrzeby pomocy; otrzymała już i chrzest ogniowy w paru wypadkach w okolicy, ma i sporo długów — bo mówiąc nawiasem, członkowie honorowi nie śpieszą skwapliwie z uiszczaniem zaległych wkładek, a gmina przyobiecanej subwencji nie wypłaca od roku — ale to wszystko razem wzięwszy nie zapewnia jej jeszcze trwałego bytu. Oprócz bowiem braku stałych funduszy na rekwizyta ogniowe niezbędnych, zachodzi ta jeszcze niefortunna trudność w należytem wyćwiczeniu komendy, że rok rocznie dzielniejsi strażacy zostają zaasenterowani do wojska.

Oto właśnie w dniu wczorajszym byliśmy świadkami jak korpus strażacki (śródego którego znajdował się jeden towarzysz przemyskiej straży p. Cichoński, który przybywszy w odwiedziny do swego ojca natychmiast zameldował się w tutejszej komendzie i prawdziwie po koleżeńsku wszelkie ćwiczenia i trudy wspólnie odbywał) żegnał czterech swoich towarzyszy, odchodzących do wojska. Z okazji tej naczelnik straży miał krótką a jędrną przemowę do opuszczających towarzyszy, którym dziękując za gorliwość i pełną trudów ich służbę, podniósł, że »do tej chwili będąc zawsze gotowi do niesienia pomocy z narażeniem częstokroć własnego zdrowia i życia, służyli ludzkości, a też samemu krajowi i ojczyźnie, jak więc tu pilnością i gorliwością w wykonywaniu rozkazów swoich przełożonych zasłużyli na uznanie i podziękę, tak i tam, postępując znaną już drogą posłuszeństwa, zjedną sobie życzliwość i uznanie swoich naczelników. Serdecznemi słowy szczególnej żegnał naczelnik adjutanta komendy

p. Potope, który wyszczególniał się zawsze przykładną gorliwością i niezmordowaną pracą nad zorganizowaniem towarzystwa straży ogniowej w Birczy.

Na wielkie uznanie zasłużyła tutejsza straż ogniowa przyczyniwszy się do wydania zakazu palenia tytoniu wśród miasteczka w czasie tegorocznej posuchy i zarządzenia, aby przy każdym domu znajdowała się beczka napełniona wodą, a ck. Starostwo w Dobromilu na wdzięczność, że do wykonania tych chwalebnych zarządzeń chętnie swej udzieliło pomocy.

Wzorowe Kółka rolnicze.

Uorganizowane dopiero w r. 1887, liczy już dzisiaj „Kółko rolnicze“ w *Sokołowie* 110 członków. Czytelnia Kółka rozwija się bardzo pomyślnie, rozprawy i wykłady treści religijnej, moralnej, historycznej i gospodarskiej, miewane przez ks. katechetę Józefa Tokarskiego i pp. nauczycieli: Bolesława Chodźńskiego, Karola Gardziela i Hipolita Wodeckiego, ściągają przeszło 100 członków i doroslejszą młodzież co niedzielę do czytelnii. — Chów bydła się podnosi, w którym to celu „Kółko rolnicze“ utrzymuje rozplodnika rasy holenderskiej, sprowadzając, — jak sprawozdanie z roku 1888, a więc w rok po zawiązaniu Kółka wykazuje, znaczną ilość nasion pastewnych i 2 sieczkarnie, za pośrednictwem zarządu głównego, zasilają czytelnię 120 książeczkami ze znanych wydawnictw, i prenumerują *Niedzielę*, *Chatę* i *Nowiny* i *Kurjera Rzeszowskiego*.

Obowiązując wszystkich członków do ubezpieczenia się od ognia, uznają potrzebę założenia straży pożarnej ochotniczej, i sprowadzając za pośrednictwem Towarzystwa

wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie sikawkę cztero-kolową. Wreszcie udziałem członków, wynoszącym 1.100 zł., zakłada „Kółko rolnicze“ sklepik.

Wśród licznych w Sokołowie sklepików żydowskich, w obec różnorodnych w sprawozdaniu do zarządu głównego wykazanych usiłowań żydów, aby temu przeszkodzić, wobec gwałtów nawet, przez żydów dokonywanych, jak okrutne pobicie tego, który lokal „Kółku rolniczemu“ na sklepik wydzierzał, dawna zasada: „zespolonymi siłami nawet małe sprawy do znaczenia dochodzą“ odnosi i w „Kółku rolniczem“ w Sokołowie tryumf, i zarząd Kółka wykazuje pomyślny rozwój sklepiku, bo zaraz w pierwszym roku 1888 sprzedano w nim towarów za 6.812 zł., a nadto przyjmuje sklepik w komis produkty i wyroby miejscowych rzemieślników.

Wedle ostatniego sprawozdania, w r. 1889 przedłożonego, do zarządu „Kółka rolniczego“ należą: przewodniczący ks. kanonik Leon Stokowski, proboszcz miejscowy; zastępca przewodniczącego p. Mikołaj Daroch, przemysłowiec; sekretarz p. Karol Gardziel, nauczyciel; członkowie zarządu pp. Kazimierz Bienek, rolnik i Józef Chmiel, garncarz.

Pochwały godna wytrwałość, wobec przytoczonych przeszkód i stosunków, toż gorliwość zarządu Kółka i energja, czerpiąca swą siłę w poczuciu spełniania obowiązku obywatelskiego, zasługuje na wszelkie uznanie, które też wyrażając, nie wątpimy, że „Kółko rolnicze“ w Sokołowie, wsparte dobrą wolą i życzliwością przyjaciół oświaty i podniesienia dobrobytu ludu naszego, z każdym rokiem skuteczniejszą swą działalność zaznaczać będzie.

W Kalwarji Paclawskiej, pow. Dobromil, zaznaczyli również członkowie „Kółka rolniczego“ swą gorliwość i łączność wobec przeciwników.

Pomimo licznej osady handlarzy i rękodzielników, szczególnie tkaczy, pomimo znacznego przypływu pątników z dalekich nawet stron na odpusty do Kalwarji przybywających, co bez wątpienia do podniesienia dobrobytu tamtejszych mieszkańców przyczynić się było mogło, pozostawała znaczniejsza część ludności w ubóstwie, z nędzą graniczącą, a rujnowały ich coraz bardziej wysokie procenty, bo 20 proc. i wyżej, opłacane od długów, zaciąganych lekkomyślnie u miejscowego żyda.

Jako zbawczy środek wybrnięcia z tego położenia uznają zawiązanie się w „Kółko rolnicze.“

Uorganizowane w r. 1885 pod przewodnictwem czcigodnego księdza Benignego Chmury, gwardjana klasztoru w Kalwarji Paclawskiej, Kaliksta p. Feduniewicza zastępcy przewodniczącego; Franciszka Solńskiego, sekretarza; Antoniego Brożyniaka i Alojzego Nawojskiego jako członków zarządu, liczy „Kółko rolnicze“ 70 członków.

Hasło Towarzystwa „Kółek rolniczych“, walka nie przeciw ludziom, lecz z ciemnotą, nędzą, lekkomyślnością, próżniactwem i innymi wadami nas, do upadku doprowadzającymi“, znajduje odgłos u członków „Kółka rolniczego“ w Kalwarji Paclawskiej.

Poradnik dla czyteln.

O rolę, obrazek przez Walerję Morzkowską. P. Morzkowska mieszka w Warszawie i jest nie tylko znakomitą autorką, ale i dobrą polką. Jako więc dobra polka, ko-

cha bardzo lud wiejski i pisze śliczne historie z życia włościan.

W powiastce o Rolę opowiada nam, jak to gospodarz Sochala prawował się z synem swego ojczyma, Marcinem Kozikiem o kawał roli i wygrał proces, choć to było nieprawdziwie i z krzywdą Kozika. Wskutego powstała straszna nienawiść między Sochalą a Kozikiem i choć chaty ich stały bliźniutko od siebie, żaden z mieszkańców tych chat nie przestępował nigdy progu drugiego, spotykając się zaś z daleka, omijali się jak najprędzej, a czasem tylko, gdy zeszli się w karczmie lub koło kościoła, przychodziło między nimi do kłótni, która się nieraz kończyła bójką.

Rodzice nienawidzili się okrutnie, a tym czasem dzieci ich kochały się serdecznie. Jasiek, syn Kozika, oddawna już upatrzył sobie piękną Małgosię, córkę Sochali i ignał do niej, jak mucha do miodu, dziewczyna ze swej strony oddała mu również całe serce. Widywali się rzadko z sobą i ukradkiem, bo ojcowie nie przebaczyliby im nigdy, gdyby się dowiedzieli o ich miłości, ale sercu rozkazać trudno: Jasiek nie mógł porzucić Małgosi, Małgosia nie mogła zapomnieć o Jaśku i jak tylko ojciec wyjechał dokąd lub wyszedł na robotę w pole, biegła szybko do gaju, wedle drogi. Tam czekał na nią o umówionym czasie młody parobczak, którego oczy niespokojnie zwracały się ku ścieżce, wiodącej od chaty Sochali.

Matka domyślała się przyczyny, dla której Małgoś tak często wybiegała z chaty i mówiła jej nieraz załamując ręce:

— Oj Małgoś, Małgoś! a na co ci to! Niechby, Boże broń, ojciec zobaczył, miała-

byś ty za swoje i ja przy tobie. Gotówby ubić na miejscu.

— Niech ubije! raz będzie koniec! — szepnęła dziewczyna przez zaciśnięte zęby. Sochalina nie usłyszała jej może i udobruchana nagle dodała:

— Nie trzeba gadać: chłopak swarny, do roboty zuch i ojców szanuje. Cóż! żeby był jeszcze swarniejszy, kiej między Sochalami a Kozikami nijakiej zgody być nie może.

— Co ja temu krzywa! — odparła dziewczyna, — bawiliśma się razem od dziecka, razem chodzili za bydłem, a teraz przez niego to mi już nic nie miłe na świecie.

— Abo to prawda! — ofuknęła ją matka. — Czy to jeden Jasiek na świecie? Poczekaj! przed zapustami tylko patrzeć, jak tu Szymek Pazdunów z wódką przyśle.

— Ja nie chcę! — wołała Małgosia.

Ojciec ze swej strony przestrzegał ją ostro mówiąc:

— Pamiętaj sobie — żeby ci głupstwa nie chodziły po głowie! pamiętaj, że pókim dobry — to dobry, ale niedoczekanie twoje, żebyś mi się z tymi zadawała, co na krzywdę moją dybia! Pamiętaj, od Jaśka wara, bobym was ubił oboje własnymi rękami!

Tak rzeczy stały, kiedy smutny nadszedł dzień dla całej prawie wioski.

We wsi tego dnia panował ruch niezwykły. Rodziny wysyłały swoich synów do losowania, żegnały ich, gościły, naradzały się i pocieszały wzajemnie. Kobiety piekły chleby, gotowały kiełbasy lub jaki kto miał w domu przysmak dla odchodzących, bo nikt nie wiedział, czy wróca.

Kozikowa również z zapłakanemi oczyma krzątała się około komina, by ostatnie może śniadanie zgotować synowi, a Jasiek stał ponury, patrząc to na matkę, to na tę chatę, co ją miał porzucić. I robiło mu się dziwnie na sercu. Brała go ochota obiegnąć jeszcze ten las, którego szum miał w uszach, te zagony czarnej roli, na których teraz rosła bujna zieleń ozimych posiewów, cała od nocnej rosy perlista, te błonia, gdzie ubiegły mu jego pierwsze lata razem z rówieśnikami przy pasaniu, i te wierzby, z których kręcił fujarki, z których każdą znał z osobna tak dobrze, iż byłby poznał ją pomiędzy tysiącem innych. Najsmutniej mu było jednak odejść od Małgosi. Nakoniec czas już był wyruszyć w drogę. Losownicy i ich rodziny skierowali się ku gminie, a droga szła tuż koło chaty Sochali. Na progu jej stała Małgośka. Czekwała na Jaśka, nie bacząc na ojca, który w podwórku szykował pług i coś ciosał zawzięcie, — choć wiedziała, że mógł ją zobaczyć.

Cały orszak przechodził właśnie koło niej, Jasiek zatrzymał się.

— Ostań z Bogiem. Małgorzato! — wyrzekł zdławionym głosem.

Chciała mu odpowiedzieć dobrem życzeniem, ale nie mogła. A ludzie patrząc na nich szeptali sobie.

— Byłaby z nich śliczności para!

Szmery te niewyraźne doleciały Sochali; Wypadł na drogę, pochwycił dziewczynę za rękę tak gwałtownie, że jęknęła i przerażona osunęła się na kolana.

Jasiek rzucił się na Sochalę, ażeby wyswobodzić z rąk jego Małgośkę. Sochala odtrącił go tak, że aż się zatoczył.

Ale na to przyskoczył Kozik.

— Zbóju jeden! złodzieju! — krzyknął ochrypłym głosem.

Sochala trzymał właśnie w ręku siekiere i zamierzył się nią na przeciwnika.

Byłby go niezawodnie zamordował, szczęściem ktoś przytomny pochwycił go z tyłu za ramię: siekiera osunęła mu się z dłoni i spadła ostrzem na głowę Małgosi.

Dziewczyna padła na ziemię z rozciętem czołem, z którego krew płynęła. Jasiek przypadł do niej i unosił z ziemi jej głowę.

Widok krwi opamiętał Sochalę; stanął nieruchomy, zdrewniały, patrząc błędnymi oczami na córkę z twarzą zbielełą, która leżała jak martwa w objęciu Jaśka. Patrzył na nią jakby to z jego serca płynęła ta krew, którą miał na sobie.

Gdy tak wszyscy stali około rannej, dał się słyszeć drżący głos starego i rozumnego gospodarza Nogi, który wsparty na kiju był świadkiem tego, co się stało.

— Jaśku! — mówił Noga, — trza ją zanieść do chaty, a wy Kozikowo, podtrzymajcie jej głowę!

Posłuchano go, Jasiek pierwszy raz od czasu kłótni ojca z Sochalą przestąpił próg jego chaty. Sochala jak martwy padł na ławę i wodził oczami po chacie, po ludziach, którzy ją napełniali. Czyż to on był sprawcą tego? i czy naprawdę Kozikowie krzątali się koło niej, ratowali, jakby swoją, gdy matka głowę straciła, a on był zabójcą swego dziecka?

— No, teraz w drogę! — odezwał się sottys — Zmarnowało się kawał czasu. Jaśku, puść dziewczynę i chodźwa!

Jasiek postąpił parę kroków, ale gdy odchodził, Małgośka jęknęła tak boleśnie, jakby jej kto serce wyrывał. Sochala wówczas przypadł do łóżka, ryknął głosem wielkim: »Małgoś moja, co ja zrobiłem«!

W tej chwili Jasiek już był na progu.

Dziewczyna śledziła go wzrokiem, nie zważając na ojca.

— Jaśku, Jaśku! — wołała i wybuchnęła płaczem.

Wówczas odezwał się Noga.

— Oj Jakóbie! Jakóbie! skrzywdziliście własne dziecko omal nie na śmierć przez swoją popędliwość, a teraz lamentujecie po próżnicy, zamiast takie słowo powiedzieć, co by i ją niebogę pocieszyło i wam ciężar zdjęło z sumienia.

— Mówcie, ojcze! — zawołał Sochala, którego serce zmiękło, a jak mi poradzicie, tak zrobię.

— Ano! — rzekł Noga, — czy nie widzicie, że Małgośka z Jaśkiem się kochają i że połączyć ich trzeba?

Sochala długo milczał, to bladł, to czerwieniał.

— Ha! niech ta będzie, jak mówicie! — wybuchnął wreszcie, podnosząc czoło z dobrem postanowieniem.

Małgośka pochwyciła ręce ojcowskie i przyciskała je do ust, a Kozikowa przypadła mu do kolan.

Wielka radość i wielkie szczęście zapanały w chacie.

— Ha! — wyrzekł wreszcie Sochala — wola wasza! szczęściu dziecka nie będę przeciwny.

Podali sobie ręce — a stary Noga powiedział; nie pierwszyna to, że miłość dzieci jedna waśnie ojców.

Jasiek szczęśliwie i rychło wrócił z łosowania, bo wybrał dobry los, a na początku zapust odbyło się huczne wesele Małgosi z Jaśkiem. Chata Sochalów ledwie mogła pomieścić licznych gości, między którymi pierwsze miejsce zajmował stary Noga. Był on wesół nadzwyczajnie, ręce

zacierał z radości i z uśmiechem patrzył to na młodą parę, to na jej ojców, ściskających się, jak prawdziwi przyjaciele.

Kilka słów o lichwie.

III.

Nie lepszą od żydowskiej jest lichwa bankowa. Wskutek ostrych kar, nałożonych na lichwiarzy prywatnych i zapowiedzenia noweli egzekucyjnej — nie łatwo biednemu o kredyt, a tu nadchodzą ciężkie czasy przednówku, spłaty podatku albo choćby i chrzciny, wesela, pogrzeby — trzeba się koniecznie zapożyczyć. Z ciężkiem sercem idziesz do banku, do owej garbarni chłopskich skór, skąd już cało nie wyjdiesz. Banki włościańskie, szmaciarskie, kryłszańskie runęły, doprowadziwszy do największej nędzy wielu włościan, zostały jednak zaliczkowe kasy powiatowe, miejskie kasy powiatowe, miejskie kasy oszczędności, towarzystwa zaliczkowe i tym podobne »instytucje kredytowe«. Szkodliwemi są one dla wieśniaka przez wysoką stopę procentową i zawiłą administrację, a dalej przez brak należytej kontroli, nareszcie przez narażenie członków na ruinę w razie bankructwa tych stowarzyszeń, opartych na nieograniczonej poręce wszystkich członków, to jest nie tylko tych, którzy się u nich zadłużyli, lecz i tych, którzy mają tam swą udziałami złożoną gotówkę. Procenta zwykle wynoszą w takich zakładach razem z dodatkami wpisowymi do 14%, a z procentami zwłoki do 27%, gdy tymczasem rola daje 3% a rzemiosło na wsi tyle co nic. Ani rola, ani rzemiosło nie dadzą więc nawet trzeciej części spłacanych za dług odsetek — co ostatecznie pożera żelazny kapitał, to jest obdłużoną własność i albo dłużnika albo ręczyciela

prowadzi do żebractwa. A zdarzają się zbyt często wypadki, że w zakładach takich popełniają wprost kradzieże i rabunki. Kilku sprytnych ludzi chwyci taką instytucję pieniężną w swoje ręce, tucząc się krwią nieopatrznych prostaczków i tak długo w niej kręci i wierci, aż cały zakład zgubi, a siebie wtrąci do kryminału. Wielkie zło wynika także z tego, że dłużnicy zależni są od tych banków i muszą nieraz być im posłuszni, choćby nie chcieli. Oto na przykład, dłużnik banku musi tak głosować jak »dyrekcja« każe, bo inaczej grozi mu egzekucja. Dłużnik, mający do wyboru albo oddanie głosu na narzuconego mu kandydata albo oddanie gruntu i chaty na licytację — nie długo wybiera. Kiedy założono bank krajowy, spodziewano się powszechnie oczyszczenia tych gnojówek finansowych, lecz oczekiwania zawiodły.

Bank krajowy, urządzony kosztem podatkujących całego kraju, stał się instytucją dla ludzi bogatych tylko, bo przez uchwałę, ażeby nie udzielano w nim pożyczek niżej 500 złr., wykluczył lud nasz od kredytu. Oprócz tego dano zastępstwa na prowincji towarzystwom zaliczkowym, to tak samo znaczy, jak gdyby kto oddał sprzedaż swego towaru w komis przekupniom, kupującym tym samym towarem, naturalnie, że przekupień taki, sam będzie sprzedawał drogo, a kupić będzie chciał jak najtaniej. Największa niesprawiedliwość dzieje się w bankach wskutek złego albo i nieuczciwego zarządu.

Kilku sprytnych ludzi, którzy myślą tylko o własnej korzyści lub wprost ukrytych lichwiarzy nawet, uchwyci zarząd zakładu i krzywdzi biedaków przez całe lata, a to wskutek tego, że nikt nie wgląda i nie pilnuje, to jest nie kontroluje

banków, jakoteż wskutek tego, że statuta bankowe są źle ułożone.

Nie o wiele lepiej dzieje się, gdy garbaty ze ślepym lub głuchy z żarłokiem zagarną całą władzę, drąc swemi pazurami chłopską skórę bez litości. Czuje to dobrze biedny lud, lecz nie ma odwagi bronić się. Jeden człowiek nie potrafi tu poradzić złemu, trzeba koniecznie, żeby wszyscy razem zażądali lepszych porządków.

Kto chce dziś dostać pożyczki w »kasach«, ten bez jaj, kur, gęsi, żyta, owsa lub siana niczego nie wskóra, a przecież urzędnicy kasowi są płatni albo »honorowi« ludzie, to jest podejmują się pełnić swe obowiązki dla dobra kraju i za to kraj płaci im szacunkiem i wdzięcznością, a pieniądz z kasy, to własny grosz chłopski, złożony dodatkiem do podatku. Ten sam opłacający podatki dłużnik, który może ostatnią krowę, ostatnią żywicielkę swych dziełek sprzedał, aby zapłacić zaległy podatek, pyta się potem, gdy go zaciągają do wyborów z za pieca: »Na co mnie te wybory, co mnie tam rady powiatowe«. Oto widzisz na co: Abyś nie potrzebował ostatniej kwarty krup, ostatniej garści owsa oddawać z domu, po to, aby otrzymać choćby i z kasy powiatowej kilka złotych, potrzebnych ci na konieczne wydatki.

KLEMENS BORUTA

przez

W. Okońskiego.

Na Górnym Szląsku znajduje się wieś, która nosi nazwę Nędzy. Mieszkańcy tej wsi są wogóle niezamożni, najbiedniejszym jednak między nimi był Wawrzyniec Boruta, ojciec Klemensa. Kiedy w r. 1847 nawiedził Nędzę głód, Wawrzyniec, podówczas wdowiec, bez środków żywności i roboty, łapał nocą pod strzechami wróble, a dniem łowił

na sidła wrony, których mięsem karmił dzieścioletniego syna. Gdy nareszcie wróbi nie stało, a wrony zmądrzały, zrozpaczony wyrobnik, nie mogąc przez dwa dni znaleźć dla dziecka pożywienia, postanowił się powiesić. Przechodząc wszakże koło zabudowań dworskich, spostrzegł na śniegu obdartego ze skóry lisa. Boruta wziął mięso do domu, upiekł je, a ponieważ sam od kilku dni nie miał w ustach, a dziecko spało, zjadł więc skwapliwie naprzód kawałek pieczeni. Po chwili uczuł gwałtowne bólesci. Przekonany, że lis był trucizną otruty, wyrzucił mięso, wybiegł za chatę, położył się na ziemi i zaczął jeść gwałtownie śnieg z ziemią w nadziei, że się tem uleczy. Chłopiec zbudziwszy się w nocy, zaczął krzyczeć i wołać tatula, ale tatulo nie przyszedł. Na drugi dzień znaleziono go martwym za chałupą.

Po śmierci ojca, przyjaciel jego, owczarz dworski, Szymon Brzost, wziął Klemensa do owczarni i tam go przezimował, dzieląc się strawą. Czasem było jadła skąpo, ale czasem, zwłaszcza ku wiosnie, gdy owce zdychać zaczęły, Brzost dorzynał je i wyprawiał sobie z wychowańcem sutą biesiadę. Zgromadziwszy w lecie zapas korzeni, plótl on zwykle zimną ładne koszyki. Chłopiec tak szybko wyuczył się przy nim tej sztuki, że zarobił kilka talarów, za które kupił sobie dymkowy surdut, spodnie i dwie koszule. Gdy owce wyszły w pole, a nadewszystko, gdy zdychać przestały, stary rzekł do Klemensa:

— No, spróbuj poszukać sobie chleba. Jak ci bieda dobodzie, przyjdź do mnie.

Klemens w swoim nowem dymkowem ubraniu wyszedł płacząc, powlóczył się po wsi, odnowił z kilku chłopcami znajomość i wieczorem stanął w owczarni.

— A, hultaj jesteś — zawołał rozniewany stary — ty myślisz, że tu przy mnie, jak Burek, będziesz ciągle leżał? Ruszaj mi w świat!

Nietyle rozkaz, ile owczarski bat, który Brzost ze ściany porwał, zdmuchnął chłopca z podwórza, jak świecę. Było wszakże już ciemno; potulawszy się więc za stodołami, gdy noc zapadła, przyległ do sterty słomy i zasnął. Ale nazajutrz, chociaż stary bardzo

rano wstał, już Klemensa nie było. Gdzie się podział? Pytał owczarz ludzi we wsi, pytał przejezdnych, ten i ów spotkał chłopca, ale wszyscy objaśnić nie umieli.

— Zawzięty kaduk! — mruczał stary. Szelma, ani piśnie, jak gdybym go nie przezimował. Może zamarł gdzie? Nie przyszedłby to, nie pogadał, i zjadłby coś, oto tłustego barana dorzndłem. Psy pożrą...

Brzost długo jeszcze wywiadywał się, nareszcie, machnąwszy ręką, całkiem o chłopcu mówić przestał. Upłynęło lat siedm. Jednego dnia parobek dworski, spotkawszy owczarza zagadnął go:

— To i mamy napowrót Klimka.

— Jakiego Klimka?

— No, juści Borutę, tego, co z wami zimował.

— Jest tutaj?

— A jaki *fryc*! Nie poznalibyście go! Zgodził się do pługa.

Brzost nie odrzekł i wrócił do owczarni.

Położywszy się na słomie, zaczął rozmyślać. Doznał jakiegoś przyjemnego dreszczu, ale zarazem obudziły się w nim uśpione uczucia gniewu.

— Dam po łbie batem, jak tu zajrzy — szepnął.

W tej chwili do owczarni wszedł Klemens. Rzeczywiście wyglądał elegancko. W czarnej kamizelce, z której wysuwały się rękawy czerwonej koszuli dymkowej, w długich, nowych butach, w świeżej czapce niebieskiej, osadzonej na wytłuszczonych włosach, z cygarem w ustach, nad którymi, pod przypłaszczonym nosem, zaczął się wysypywać jasny wąs, wszedł on śmiało i stanął na progu.

— Dzień dobry! — zawołał junacko.

— A co to — krzyknął Brzost — nie widzisz, że tu słoma — z cygarem wchodzisz!

— Toć je w gębę wetknąłem, nie w snopek — odrzekł Boruta, nadrabiając miną.

— Pójdź stąd, żebym go głębiej nie wetknął.

Klemens wyjął z ust cygaro, opluł je i zgaszone schował do kieszeni.

— Czemuż to dziadek — rzekł, zbliżając się łagodnie — tak mnie wypędza, jak wilka,

Przecież wam drzazeg za paznogie nie biłem. A że poszedłem w świat, toście kazali.

— Kazali! — krzyknął stary — już ci całe życie w torbie nosić cię nie mogłem, żebyś z niej chleb wyjadał, a dopóki trzeba było, to od miski nie odganiał.

— Albo to mówię? Ale kiedy musiałem swojej miski poszukać, to musiałem.

— O, ja wiem, zostałeś panem i dlatego nie chciałeś się nawet dowiedzieć, czy stary nie zdechl gdzie pod krzakiem. Już ci, pan taki — to nie Burek, który zaraz przyleci, jak krzyknę do nogi. Pal diabli głupich.

— Ja, pan? bo po siedmiu latach mam czem skórę przyrodzić. Nie gadałibyscie po próżnicy. Żebyście wiedzieli, po jakiej to ja drabinie lazałem, zanim wylałem, ile się szczeblów załamało, ile biedy doznałem.

— Zkądże miałem wiedzieć — rzekł, widocznie ugłaskany Brzost, podciągając za uszy skurczoną u buta cholewę.

— O, może i wam w młodości tak bieda nie dobodła — mówił z westchnieniem Boruta, usiadłszy na progu. Przez miesiąc ciepłego nie kosztowałem, potem ledwie kilka groszy na dzień w kopalni wydrapałem, w fabryce dala zarobek, póki nie stanęła, z dworca kolejowego za przespanie wypędzili, wziąłem się do służby na folwarku i ot, co na mnie, to całe z niej bogactwo.

— Ciężko, ciężko — zauważył Brzost już bez śladu złości.

Widząc to Klemens podsunął się bliżej do niego, wyjął z kieszeni zgaszone cygaro i ssąc je, roztoczył przed oczyma Brzosta całe pasmo swych siedmioletnich przygód. Były w nich wszystkie nici, z jakich się zwykle tka życie biedaka. Słuchając tej powszedniej doli sierocy, stary przerywał ją ciągle radami mądrości po szkodzie:

— Nie było ci — zawołał wreszcie — trzymać się kopalni!

— A toż trzymałem się — odrzekł Boruta — póki kawał węgla się nie oderwał i nosa mi nie przetrącił.

Brzost spojrział na swego wychowanka i dostrzegł widoczne przełamanie chrząstki nosowej.

— Długo chorowałeś?

— Ze dwa dni krew buchała, ale to była

furda. Jak mi, panie, maszyna ten oto palec odgryzła, to świerkało w oczach świerkało!

Owczarz ze zdziwieniem popatrzył na rękę Klemensa, u której istotnie palec brakło.

— A tu głód, bo robić nie mogłem. Poszedłem do apteki po masło, to centa nie uściąpił. Myślałem, że sobie łeb ukręcę. I gdyby tyle! Ale raz przyszedłem do fabryki, stoję, a psi wnuk, Born, puszczał żelazo w rynnę; kiedy nie pryśnie, na wskroś do kości zbój przepalił mi nogę.

Zdjął but i odsłonił na łydce szeroką szramę po oparzeniu.

— To cię opadło ze wszystkich stron — mruknął Brzost i zaczął czegoś szukać w słomie pod poduszką posłania.

— A no! rzekł Boruta — może przecie koniec. Mnie i świdra djabła w ręce nie utrzyma, bo mu się wykręcę.

Podczas gdy zaciekawiony poszukiwaniami pana, Burek powstał i zaczął mu przypatrywać się, kręcąc ogonem, niemniej zaciekawione obecnością Boruty owce zbliżyły się w gromadce. Klemens, chcąc je za tę uwagę wynagrodzić, podał wysuniętemu naprzód skopowi niedopalek cygara. Baran ujął je zębami, zgryzł i plując odbiegł, a spłoszone jego ucieczką stado, bojaźliwie w kąt się stoczyło.

— Myślałeś, że piernik — rzekł śmiejąc się Boruta i w przystępie wesołości porwał za ogon Burka, okręciwszy go kilka razy w koło. Pies zaskowyczał i zaczął szczeleć. Przestraszone owce jeszcze gwałtowniej skupiły się w kacie.

— Nie pójdziesz ty darmożjadzie! krzyczał owczarz na Burka, nie zważając, że pies miał słuszną rację gniewu.

Pies tem smutniej ogon spuścił, że jego pan wyjął ze słomy butelkę, a zarazem kawał gotowanej baraniny, owiniętej w skórę ze starej torby, co dla kudłatego towarzysza było wielkim przysmakiem.

— Na zdrowie twoje — rzekł Brzost, przykładając do ust butelkę, z której obficie pociągnął.

— Na wasze — odpowiedział Klemens i pożądliwie zanurzył w gardło pokrzepiającą szyjkę.

Ostra! rzekł przymuszając oczy.

— Trzmielówka — mówił stary z widocznym zadowoleniem. Sam sobie ją przypawiam. Biorę okowitę, wlewam na korę trzmielinową i tak stoi tydzień, potem kładę trochę glogu, macierzanki, rozchodniku, dębowych galek, pokrzywiego korzonka i cynamonu.

— Ho! ho! podziwiał Boruta.

— Dobrze lyknać, to każdą chorobę wystraszy. Albo to raz i sobie i drugim kości prostowałem. No, zjedz kawałek mięsa, wczoraj barana dorząłem — motyllica precz dusi.

— Co ma tłusty poleć smarować, lepiej że ludziom da się pożywić. Czy sam pan często tu przyjeżdża?

— Ale skąd. Siedzi w Berlinie, albo nad morzem. A chociaż przyjedzie, to na tyle folwarków czasu mu nie starczy. Już ci zajrzy, powącha i dalej. Tu i nie ma gdzie mieszkać. Dwór stary, trzy pokoje lepsze, to rządcą mieszka.

— Podobno okrutny Niemiec, ten rządcą.

— Ludzkiego słowa nie da. Krzyczy, rozgania, żebyś ze skóry wylazł, to jeszcze mu za mało. Dziedzic, mówią, niezły człowiek. Ale jak przyjedzie, Klein nikogo nie puszcza, a choć uda się komu dostać, póty będzie wymyślał, że wszyscy gałgany, próżniaki, polskie szkodniki aż pana przekona. Wyjrzyj, czy tam kto nie podsłuchuje, tego, co mówię. Nie?

— Niema nikogo.

— Albo i ze mną. Dwanaście lat tu jestem i dobrze było. Jak on nastał, zaraz zakrzyczał, że m głupi, niedołężny, że mnie wygoni. Ot tak. A, niech go robaki! Do ciebie, Klimku.

— Czuć macierzankę — rzekł Boruta, smakując.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KRONIKA.

Komiteta dla zjazdu Kółek rolniczych

zajmował się na posiedzeniu onegdajszem sprawą ulokowania delegatów, którzy w pokaźnej liczbie dwustu kilkudziesięciu zgłosili dotychczas swoje przybycie do naszego miasta. Przyjęto jednomyślnie zaproszenie towarzystw rzemieślniczych „Skaly” i „Gwiazdy”, które obszerne sale swoje oddają

na nocleg dla włościan. Dla okolicznościowej wystawy, która obejmować będzie przyrządy pożarnicze, wyroby przemysłu domowego, jako też narzędzia rolnicze i gospodarstwa włościańskiego dotyczące, wybrał komitet osobną komisję wykonawczą. Ta sprawując zarazem obowiązki informacyjne, urzęduje od dziś codziennie w hotelu Żorża od godz. 9—12 i od 3—6 po poł.

Towarz. gimnastyczne „Sokół” zaprosiło delegatów na ćwiczenia, które odbędą się w dniu pierwszym zjazdu, tj. 9. października, ze stosownym objaśnieniem i przemówieniem. Po tych ćwiczeniach udadzą się wszyscy uczestnicy zjazdu do kasyna miejskiego, gdzie komitet urządza gościnne przyjęcie. Na przedstawienie uroczyste, które nazajutrz odbędzie się, jak wiadomo, w teatrze Skarbkowskim na dochód Kółek rolniczych, zatrzymał komitet cały parter dla włościan.

Prawdziwy poseł ludowy. P. Teliszewski notariusz w Turce, wybrany w lipcu br. posłem z tamtejszych gmin wiejskich przeciwko magnackiej kandydaturze jakiegoś Lubomirskiego, (który przy pomocy faktorów, zdobył dla siebie banknotami aż sześć głosów,) — zwołał ogół wyborców włościańskich na zgromadzenie w celu wysłuchania ich życzeń i zrozumienia naglących potrzeb tego w br. podwójnie nieszczęśliwego powiatu, gdyż z powodu nieurodzaju grozi tam ludowi głód ciężki. Postępek p. Teliszewskiego zasługuje na publiczne uznanie i gdyby wszyscy włościanie w kraju mieli takich posłów, nędza w kraju nie byłaby tak dotkliwą.

100-letni jubileusz. W Dobczycach obchodzoną będzie d. 10. października br. stuletnia rocznica istnienia tamże trzereklasowej szkoły ludowej.

Rada oddziału łańcucko-jarosławskiego tow. gosp. wniosła do namiestnictwa pismo następującej treści: Tegoroczne klęski spadły na kraj nasz: klęska posuchy i zaraza pyskowa i raciczna — doprowadziły rolników do ostatnich granic wyczerpania i grożą nieuniknioną ruiną! Zaraza pyskowa — raciczna do dziś jeszcze nie ustała w kraju, przez co hodowcy bydła i trzody chlewnej, nawet w miejscowościach zupełnie zdrowych, z powodu zamknięcia jarmarków i targów nie są w możności sprzedania bydła (dla którego nie mają paszy do przezimowania), ani trzody chlewnej, z której dochód służył włościanom na opłatę podatku i kupna soli! Ogólne zgromadzenie członków od-

działu łańcucko-jarosławskiego gal. tow. gosp. zastanawiając się nad tą klęską, poleciło radzie oddziału udać się do namiestnictwa z przedstawieniem następującem:

Jeżeli zaraza pyskowa i racie dotąd nie ustaje, to jedynie z przyczyny zszarżenia pp. weterynarzy, aby każdą podejrzaną sztukę bydła odosobniano od zdrowych, a ponieważ zataza ta, gdzie się pokaże, rzadko kiedy omija nietylke w stajni, ale i w całej gminie bydło się znajdujące, tym sposobem przez odosobnienie pojedynczych chorych sztuk, przewleka się w nieskończoność i ztąd pochodzi, że posuwa się z miejsca na miejsce. Najlepiejby było zarazić naraz całą stajnię, bo bydło razem wszystko chorujące, razem powraca do zdrowia. Postępowanie takie w oborze, dałoby się zastosować i do gmin. Komisjonowanie pp. weterynarzy powiatowych, oddzielanie chorego od zdrowego bydła połączone nieraz z szykanami i tak biednej ludności, widocznie nie prowadzi oo celu, bo jak nadmieniono: zaraza ta trwa dotąd w kraju! Otóż upraszamy namiestnictwo, aby rada sanitarna w tych wypadkach choroby nakazała swym organom, nie powstrzymywania jej w danej miejscowości, wewnątrz obszaru gminy zarazą dotkniętej, lecz tylko pilnego strzeżenia granic, aby po za jej obręb przenieść się nie mogła.

Co do targów i jarmarków, to zamknięcie takowych w całym powiecie wtenczas, gdy zaraza panuje w jednej tylko nieraz miejscowości, jest krzywdą wielką dla rolników, bo odjęta im jest możność spieniężenia bydła, którego żywić nie mając, i nierogacizny, z której włościanin ma dochód jedyny na najgwałtowniejsze potrzeby, upraszam więc namiestnictwo, aby raczyło polecić podwładnym swym organom politycznym, iżby zamknięto tylko te miejscowości, które zostały dotknięte rzeczywiście zarazą, a targi i jarmarki dozwolone zostały, byle na nie przyprowadzano bydło z gmin niezarażonych i drogami wolnemi od zarazy.

Jubileusz prac nauczycielskich. We wsi Żarki w powiecie chrzanowskim, odbyła się 22. bm. jubileuszowa uroczystość 25-letniej pracy nauczycielskiej p. Ferdynanda Kłapy. W pięknie przystrojonej sali szkolnej i wobec licznie zebranego grona nauczycieli i znajomych, przemówił najpierw drugi nauczyciel w Żarkach, p. Wilimek, podnosząc zasługi jubilata, jako kierownika i nauczyciela, poczem w imieniu dzieci szkolnych chłopczyk i dziewczynka serdeczne wyrazili uczucia.

Milą niespodziankę następnie sprawił jubilatowi były jego uczeń, obecnie abiturjent gimnazjalny, p. Hodur. W pięknej i wiele wzniosłych myśli zawierającej mowie podniósł on znaczenie nauczyciela w ogóle, a szczególnie jako Polaka, nawiązując swoje myśli do osoby szan. jubilata, który jeszcze jako 17 letni młodzieniec w pamiętnym r. 1863 pospieszył w szeregi walczących, ażeby na ołtarzu ojczyzny złożyć także ofiarę z krwi swojej. Następnie wójt gminy Żarki w prostych lecz serdecznych słowach wyraził życzenia gminy, która kocha i poważa swego i dzieci swoich przewodnika i wskazał na łączność, jaka istnieje w pomienionej wsi między szkołą a ludem i jej naczelnikiem. Przemawiali dalej: p. Nosalik, nauczyciel z Kwaczały, imieniem Kółka pedagogicznego babickiego, którego jubilat jest przewodniczącym; p. Mioduński, nauczyciel z Gromca, w imieniu osób nieobecnych, a wreszcie p. Zięba, nauczyciel kierujący z Ciężkowic, w imieniu nauczycieli zamiejscowych. Uroczystość ta cała, będąca najlepszym dowodem, jak dalece p. Ferdynand Kłapa swą gorliwą pracą i postępowaniem swem serca wszystkich zaskarbić sobie potrafił, zakończoną została wręczeniem pierścienia pamiątkowego jubilatowi, który w serdecznych słowach wszystkim, którzy do tej uroczystości się przyczynili, podziękował.

W płomieniach. O strasznym wypadku donoszą do *Gaz. Świąt.* Niedawno w domu mieszkalnym dzierżawcy majątku Słupnie, w Płockiem zapalił się dach nad kuchnią. Służba ratowała się ucieczką. W domu pozostała jednak śpiąca pani Kędzierzawska z czworgiem dzieci. Dopiero blask ognia i ryk bydła obudził śpiącą, w chwili, kiedy już cały dom stał w ogniu. Widząc niebezpieczeństwo, pani K. porwała troje starszych dzieci i wybiegła z niemi na korytarz, gdzie już buchały płomienie. Przedarła się jednak przez nie i wybiegła na podwórze. Zostawiwszy tu dzieci, powróciła raz jeszcze do sypialni po czwarte, najmłodsze dziecko. Porwała je w objęcia i już wybiegała z korytarza, gdy nagle wskutek strasznego gorąca straciła przytomność i padła. W tej chwili przybiegła służba i nieszczęśliwą matkę wraz z dzieckiem z płomieni wydobyła, ale było już zapóźno. Pani K. była strasznie poparzoną, dziecko zaś już żyć przestało. P. Kędzierzawski nie był w domu. Powróciwszy w kilka godzin później, odwiózł nieszczęśliwą rodzinę do szpitala

w Płocku, gdzie wskutek poparzenia zmarła wkrótce malka i dwoje dzieci, które wyniosła z płonącego domu. Zmarł także i starzec Modzelewski, rezydent państwa K., również poparzony.

Odpowiedź od Redakcji. *W. P. Filipowi Z.* Za list serdecznie dziękujemy. Umieścimy go w przyszłym numerze. „Przyjaciół” prosi o nim nie zapominać i pisywać często.

Co słyhać w świecie.

Sejm galicyjski na pewno zostanie zwołany 10. października. Nie potrzebujemy, zdaje się, przypominać posłom włościańskim obowiązków na nich ciążyących, pisaliśmy o nich niedawno obszernie, zresztą jesteście przekonani, że nie na to dali wybrać się do Sejmu, aby tylko figurować i siedzieć jak lalki malowane, ale aby radzić nad dobrem ojczyzny i biedą włościańską, większą w tym roku, aniżeli zazwyczaj z powodu klęski nieurodzaju, jaka kraj nawiedziła. Wydział krajowy wniósł właśnie do rządu prośbę o wyznaczenie z funduszków państwa 900.000 zł. na zapomogi i bezprocentowe pożyczki.

Jak na wielką biedę, obliczoną w drodze urzędowej na 6 milionów zł., jest to pomoc prawie żadna, i wystarczyłaby zaledwie na obdzielenie jałmużną zagrożonej nędzą ludności, na zaspokojenie głodu w pierwszych dniach kilku. A co potem? Chyba przyjdzie tysiącom rodzin mrzeć z głodu i wzięwszy torby żebracze na plecy, przeciągać przez kraj cały od wsi do wsi, od miasta do miasta i wzywać miłosierdzia ludzi i Boga? Pomoc zatem przez Wydział krajowy obmyślana nie jest dostateczną pomocą i jeżeli ma się biedzie zaradzić naprawdę, to trzeba u rządu wystarać się jeszcze o 5 milionów złr. co najmniej, jeżeli na kraj nie ma spaść głód i pomór. Na posłach włościańskich ciąży święty obowiązek upomnienia się o tę pomoc. To samo upomnieć się należy o rozdawanie ze

składów i żup solnych soli dla bydła, jeżeli to nie ma być do szczeru wyniszczone.

Również dowiadujemy się, że Wydział krajowy postanowił Sejmowi przedłożyć projekt ustawy o pisarzach gminnych. Byłby też już czas najwyższy aby złe, jakie częstokroć wyrządzają gminom niesumienni pisarze, raz usunąć!

Bułgarja utraciła jednego z mających wielką sławę w tym kraju ludzi. Zacharjasz Stojanów, który za młodu był pasterzem, a potem wykształciwszy się wyszedł na pisarza pieśni, i mężnie walczył za wolność Bułgarji, był obrany prezesem sejmu, pojechał do Paryża, dla obejrzenia wystawy, i tam umarł. Cały kraj wylewa za nim gorące łzy i przywdział żałobę.

W Czechach nie ma zgody pomiędzy ludnością czeską a niemiecką. Od jakiegoś czasu przyszło do tego, że Niemcy nie chcą należeć do sejmu, co się zgromadza w mieście Pradze, ponieważ w sejmie tym bywają zwykle przegłosowani przez Czechów, których tam więcej zasiada. Otóż rząd austriacki chciał wezwać do Wiednia ludzi przez obie narodowości z Czech wybranych, aby naradzili się i doszli raz do jakiejś zgody. Czesi gotowi byli wdać się w te układy, ale Niemcy rzekli: „Niech cesarz najpierw przyrzecze, że będzie z nami trzymał; niech powie, że nie będzie koronować się na króla czeskiego; niechaj i czesi najpierw przystaną na to, żeby kraj podzielić na okręgi czeskie i niemieckie, według tego, gdzie jaka ludność mieszka, i żeby w niemieckich okręgach były tylko niemieckie urzędy i szkoły, — to my wtedy posłamy swych ludzi na ową naradę i dla zawarcia ugody z Czechami”. Cesarz jednak nie chce żadnych przyrzeczeń z góry dawać, więc myśl o układach przynajmniej nateraz w łeb wzięta.

W całej Francji odbyły się teraz wybory nowych posłów do sejmu, ponieważ skoń-

czyły się już lata, na które dotychczasowi byli obrani. Ogromna więc w tych dniach była wrzawa we Francji, bo wszystkie stronnictwa starały się o to, żeby mieć jak najwięcej swoich posłów w sejmie. Dochodziło przytem w wielu miejscach do kłótni, o mało że nie do bójek. A najzawziętsza walka przy tych wyborach toczyła się w samym Paryżu, gdzie jedni są stronnikami teraźniejszych ministrów, a drudzy — Bulanżera. Chociaż rząd ogłosił, że Bulanżer, jako wygnaniec z kraju, odsadzony od praw obywatela francuskiego, nie może być posłem, to jednak w jednym okręgu Paryża większa część wyborców dała za nim swe głosy. W kilku innych znów częściach miasta obrano przyjaciół Bulanżera. Za to po innych okręgach Francji stronników jego znalazło się mało, tak, że Bulanżer nie będzie miał w sejmie chyba i 30-stu przyjaciół.

We Włoszech główny minister Kryspi, pojechawszy niedawno do Neapolu, największego miasta w Włoszech, doznał tam bardzo przykrego zajścia.

Jakiś człowiek, nazwiskiem Kaporali, ugodził dostojnego gościa ostrym kamieniem w twarz. Minister został zraniony, tak że musiał się do łóżka położyć, a rana jakoś bardzo wolno się goi. Kaporali został wzięty do więzienia. Z początku rozeszła się wiadomość, że jest to warjat, ale on sam zaprzecza temu, mówi do rzeczy i dowodzi, że należy do tej części narodu włoskiego, która jest przeciwna teraźniejszemu rządowi, więc dla tego uczynił zamach na życie Kryspiego. W kilka dni potem duży tłum z pomiędzy mieszkańców Neapolu zgromadził się na ulicy przed domem, w którym Kryspi się leczy, i wydawał okrzyki na cześć ministra, wołając: »Niech żyje Kryspi«. Ten z podwiązaną twarzą wyszedł na ganek i dziękował zgromadzonym za dowód takiej przychylności dla siebie.

Z Niemiec. Niemcom nie na żarty trudno się obyć bez świń z zagranicy przywożonych. Swoje im nie wystarczają. Rząd nie chce znieść zakazu przywożenia tego towaru z krajów obcych, ale musi wydawać pozwolenia wyjątkowe. Oto pozwolono sprowadzać wieprze z Galicji do miasta Gliwice na Szlaku pruskim, a wieprze bite z Królestwa Polskiego do regencji Bydgoskiej w Księstwie Poznańskim. Postawiono jednak warunek, że wieprze bite mogą być wiezione przez granicę tylko w tych miejscach, gdzie mieszkają rządowi rewizorzy mięsa. Każda sztuka musi być daną do zbadania rewizorowi, aby ten zaświadczył, że jest zdrowa, a szczególnie, że nie ma w sobie trychin. Za czynność tę ma płacić właściciel wieprza. Kto się do tego nie zastosuje, podlega karze 30-tu marek, (czyli 18 złr.) albo aresztowi.

Do Serbji powróciła wypędzona stamtąd przed rokiem królowa Natalja, której małoletni syn Aleksander obecnie jest królem. Jak czytelnikom naszym wiadomo, dawny król Milan, który zrzekł się tronu i rozwiódł z żoną, zakazał jej powrotu do kraju. Pomimo to Natalja wróciła do Serbji, za zgodą rządzących w imieniu jej syna rejentów, i prawdopodobnie w Belgradzie stale zamieszka. Rejencja pozwoliła powrócić królowej pod tym warunkiem, że do rządów ani do wychowania swojego syna mieszać się nie będzie. Natalja zgodziła się na wszystko, aby tylko być blisko swojego jedynaka. W Serbji panuje wielkierozdwojenie z powodu niechęci do obecnie panujących książąt Obrenowiczów i jest silna partja, która żąda powrócenia na tron linii Karageorgiewiczów. W ogóle kraj ten czekają zaburzenia i jeżeli nieład dotychczasowy dalej tam potrwa, to niedługo będzie się Serbja cieszyła samodzielnością i gotowa wpaść w ręce którego z wielkich państw sąsiednich.